

Beata Worobiec

Nie odwracaj kota ogonem



*Dla wszystkich wrednych kotów,
które przebiegły mi przez drogę.*

Rozdział 1

Biedny kotek

Zofia pędziła po chodniku, jakby goniła ją horda rozwścieczonych orków. Choć w tej sytuacji chyba nawet wolałaby spotkać kilku takich. Czuła, że bez problemu powaliłaby co najmniej trzech. Wszystko przez to, że – delikatnie mówiąc – duch jej na rozżarzone węgle dupą usiadł. Żeby nie powiedzieć, że była po prostu nieziemsko wkurwiona. W ręce ścisnęła obcas, który odpadł od jej ulubionych butów. Utykała odrobinę, ponieważ różnica pomiędzy szpilką, a butem jej pozbawionym, pozwalała poruszać się wyłącznie z gracją baletnicy po ekstazy.

Westchnęła ciężko, kiedy czerwone światło zmusiło ją do zatrzymania się przed ulicą. Podmuch wiatru zrzucił z jej czarnego płaszcza płatek róży, który przyczepił się i zwiedzał Wrocław na gapę. Rozwścieczona kobieta przydepnęła go i warknęła, naciskając całym ciężarem swojego ciała. Dość drobnego, trzeba przyznać, ale jednak wystarczająco masywnego, by zmasakrować doszczętnie

biedny płatek. Płatek, który tak nawiasem mówiąc, nikomu nic złego nie zrobił. Znalazł się po prostu na nieodpowiednim kwiatku.

Mówi się, że za otrzymaną zieleninę należy podziękować. Mamusia dobrze wychowała Zosię. Wielokrotnie powtarzała, że od pewnego wieku wiele rzeczy już nie wypada. Na przykład nie wypada nie podziękować, kiedy otrzyma się różę. A guzik prawda! Im dłużej jej córka żyła, tym więcej jej wypadało. Dla przykładu, jakieś dwa tygodnie temu wypadł jej dysk i chodziła pochylona przez ponad godzinę. Albo klucze z torebki jej wypadały. Co chwilę coś wypadało. Talerz, albo taca z rąk. Także nawet nie warto zaczynać tematu tego, co odpadało, bo teraz np. odpadł obcas od buta. I ten fakt wcale nie sprawił, że miała ochotę komukolwiek dziękować. Przeklinać całe grupy społeczne – owszem. Ale nie dziękować.

A wszystko przez to, że faceci to szatańskie pomioty i stworzeni zostali po to, żeby męczyć bogu ducha winne kobiety. Tak, to zdecydowanie była wina tego gościa, który siedzi na górze i śmieje się pod nosem obserwując

swoje dzieło. Adama – jak wiadomo – stworzył na swoje podobieństwo, ale dlaczego stworzył Ewę? Otóż dlatego, że miał już dosyć jęczenia Adama! Dlatego właśnie postawił u jego boku kobietę, która w przyszłości miała jego jęków wysłuchiwać. Z tym, że Zosia jakoś się w tej roli nie odnajdowała. Nie pociągali ją faceci, którzy spędzali w łazience więcej czasu od niej i byli bardziej marudni. Okazywali się nie lepsi od okazów niemal żywcem wyjętych z prehistorii. Tych, które od zarania dziejów drapały się po jajkach i dłuwały w nosie, a potem zbierały się w grupę, żeby wspólnie zapolować na mamuta. Takich, dla których bekanie i puszczenie bąków to wyśmienita zabawa. Owszem, zdawała sobie sprawę, że mężczyźni to łowcy i kiedy widzą pociągającą kobietę, to pragną ją jak najszybciej mieć. Wystarczy jedno zalotne spojrzenie, a ich ciała produkują takie ilości nasienia, że aż uderza im do głowy. Potrafią wtedy zrobić i powiedzieć wszystko, byle skrócić czas zdobywania do absolutnego minimum. Zostało im to z czasów, kiedy latali z maczugą i polowali na swoje wybranki. Szarpnął taki pierwszą z brzegu, ostatecznie znieczulił delikatnie kijem i zaciągnął do swojej jaskini. Kiedy połowica się ocknęła, fundował

jej grę wstępną w postaci czulego rozsunięcia pośladków, a potem wbijał się w nią od tyłu. Jako wyrefinowaną pieśczętę stosował ciągnięcie za włosy. Około trzech minut później było już po zawodach. Mógł spokojnie iść spać, aby następnie w pełni sił wrócić na polowanie. I choć czasy się zmieniły, to w samcach wciąż można było wyczuć tęsknotę za tą prostotą. To z kolei niezmiernie Zosię denerwowało, choć było niczym przy gagatku, którego spotkała tego wieczora. Dała się namówić na randkę w ciemno, kiedy Basia opisała jej przystojnego pracownika telewizji polskiej. Niestety okazało się, że mężczyzna był wizualnie dyskusyjny, a w telewizji polskiej, owszem, pracował – z tym, że w kotłowni.

Była spokojna, kiedy kazał jej czekać pół godziny, bo spóźnił się na autobus. Trzymała nerwy na wodzy, kiedy musiała za niego wybrać miejsce, do jakiego się udadzą, bo okazało się, że on nie ma żadnego pomysłu. Słuchała cierpliwie, kiedy zaczął opowiadać o tym, jak jego była okazała się złą kobietą. Trochę ją zszokowało, kiedy podsunął rachunek w jej kierunku i oczekiwał, że zapłaci również za niego, ale tłumaczyła to sobie

równouprawnieniem. Tęskno spoglądała za starą babuleńką, która roznosiła róże i zignorowała jego tyradę na temat braku sensu w kupowaniu ciętych kwiatów. Mierziło ją, że pod parasolem wolał trzymać swoją skórzaną torbę, zamiast zaproponować, żeby to jej starannie ułożona fryzura przetrwała atak mżawki. Olała głupie teksty typu tego, który rzucił, jak zmokła.

– Przez ten deszcz jestem cała mokra – powiedziała w nadziei na to, że gentelman przytuli ją do siebie i da się schronić pod parasolem. Niestety się przeliczyła.

– Mm... no to powinniśmy ten stan wykorzystać – rzucił z obleśnym mruknięciem i zaśmiał się z własnego żartu.

Nerwy straciła, kiedy po tym wszystkim miał odwagę powiedzieć, że idą do niej, a po wszystkim liczy na jakąś dobrą kolację. Bezcelność niektórych typów po prostu szokowała naszą przemiłą bohaterkę. Jako osoba z natury spokojna, wytłumaczyła mu grzecznie, że chyba sobie kurwa kpi i już miała zamiar odwrócić się na pięcie, kiedy złapał ją za rękaw i zaczął sugerować podniesionym tonem, że jeśli chodzi jej o tego głupiego badyła, to

ostatecznie może się poświęcić i jej go kupić. Babcia z koszem róż jakby tylko na to czekała i zmaterializowała się obok.

Zosia spjrzała na kwiatki, na mężczyznę, na kwiatki, na babcie, po czym znowu na mężczyznę... i nie wytrzymała. Złapała jedną z róż i wylała wszystkie swoje żale, okładając faceta kwiatkiem po łbie. Pech chciał, że na gentlemiana nie trafiła – koleś pchnął ją delikatnie, a zważywszy na to, że obcas zablokował jej się pomiędzy nierównymi kostkami brukowymi, runęła do tyłu, lądując z tyłkiem w fontannie. Przy okazji złamała wcześniej wspomniany obcas, co sprowadza nas z powrotem do chwili, kiedy mokra i wściekła wracała do mieszkania.

To była najgorsza randka w jej życiu. Marzyła o tym, żeby nagle przy niej zmaterializował się Zorro z tą swoją czarną mordą i walecznym przysposobieniem. On by ją obronił przed dupkami pokroju tego, na którego trafiła. To wyobrażenie z kolei sprawiło, że obiecała sobie już nigdy więcej nie umawiać się z mężczyznami, którzy zaczepili ją w barze. Zarzekała się w duchu, że już w życiu nie da się swatać Baśce – choć była to obietnica z kategorii

tych, o których szybko się zapomina. Coś jak wielokrotnie powtarzane na kacu: „Więcej nie piję!”. Głównie dlatego, że Baśka potrafiła być bardzo przekonująca i namówić ją na wszystko. W dodatku tak się składa, że Zosia powoli traciła nadzieję na to, że ułoży jej się w życiu. Chodziła na randki bez entuzjazmu, pracowała bez entuzjazmu... właściwie wszystko robiła bez entuzjazmu. Z wyjątkiem śpiewania pod prysznicem, do czego i tak nigdy nie chciała się przyznać. Rozczarowana studiami i tak zwanym dorosłym życiem, szukała spełnienia w różnych zawodach, ale nic nie przyciągało ją na dłuższą chwilę. W końcu zacumowała w barze, gdzie robiła za barmankę, kelnerkę, pomoc kuchenną i księgową w jednym. Jednocześnie marzyła o tym, żeby w jej życiu pojawił się w końcu książę z bajki, który zawojuje jej serce (a nie tylko majtki) i będzie mogła założyć względnie normalną rodzinę. Z ukłuciem zazdrości patrzyła na to, jak młodsze koleżanki wychodzą za mąż i im bliżej trzydziestki była, tym bardziej chciała, żeby i jej ktoś wcisnął na palec złoty krążek. Niestety chętny jakoś nie pojawiał się na horyzoncie. Mężczyźni co prawda interesowali się Zosią i jej seksownym tyłkiem, ale żaden nie spieszył się do

związku i zobowiązań. W rozleniwionym społeczeństwie goniącym za sukcesem, coraz ciężiej było o chętnych do ograniczania się, a relacja z jedną osobą ewidentnie tym właśnie dla nich była.

Staropanieństwo pukało jej do drzwi. Ledwo zdążyła przekroczyć próg mieszkania, kiedy Zorro wystrzelił z pokoju i zaczął ją witać z entuzjazmem, nie szczędząc przy tym śliny. Kochane było z niego psisko. Potrafił odgonić nawet największy smutek, albo ostatecznie udostępniał swoją czarną sierść jak chusteczki, w które można się wyplakać i wysmarkać. Była tylko jedna sytuacja, w której Zorro tracił głowę – kiedy ktoś rzucił mu patyka. Wtedy potrafił potknąć się o własną łapę, albo zaryć łbem w drzewo, byle tylko złapać swój bezcenny skarb. Świat przestawał mieć znaczenie. Poza tym Zorro był wilczurem o króliczym sercu – bał się własnego cienia, ale samym wyglądem budził grozę. To w zupełności wystarczyło, żeby właścicielka nie bała się wychodzić z nim na nocne spacer.

W mieszkaniu rozległ się irytujący łomot. Okazało się, że to jednak nie staropanieństwo pukało do drzwi, bo

kiedy Zosia otworzyła, w progu stała jej sąsiadka. Pani w sile wieku, zwykle elegancka, starannie pomalowana i z fryzurą, której przez ilość użytego lakieru nie naruszyłaby nawet zamieć. Tym razem przybiegła w delikatnie wilgotnym płaszczu, jakby również przed chwilą wróciła z miasta. Wymachiwała przed nosem czymś włochatym i śmierdzącym, zalewając się przy tym łzami. Jak na pracownicę dziekanatu przystało, już w pierwszej chwili okazała swoje przyjazne przysposobienie.

– Nie wytrzymałaś, prawda? Nie mogłaś znieść naszego szczęścia, suko! Co on ci zrobił?! Kocio zawsze był taki grzeczny! – krzyczała. Dopiero dwie sekundy później Zosia zrozumiała, że sąsiadka potrząsa swoim kotem. Tłusty szary brytan dziwnie spokojnie znosił perturbacje. Jak na kota wyglądał całkiem normalnie. Nie miał przynajmniej pyszczka, jakby ktoś wsadził mu łeb w imadło i walił w niego młotkiem aż do uzyskania w miarę płaskiej powierzchni. Był za to posiadaczem prawdziwie kociego – wrednego do granic możliwości charakteru.

– Po pierwsze: wciąż uważam, że Kocio to głupie imię. Po drugie: serio, musi pani pytać, co mi zrobił? Ta

cholera średnio raz w tygodniu sika mi na balkon –
odpowiedziała Zosia.

– Nie masz serca, gówniaro! Będziesz się za to
smażyła w piekle! Zabiłaś go za to, że sikał, pieprzona
idiotko?!

– W myślach? Wielokrotnie!

– Jak ci nie wstyd? Biedny Kocio już nigdy nie
zamruczy! – Kobieta wybuchła histerycznym płaczem, a
do Zosi powoli zaczęło docierać, że to nie żarty. Brytan
naprawdę się nie poruszał. Zwiślał z dłoni pani
Szczepińskiej jak kukielka.

– Ej, ja żartowałam. Nic sierściuchowi nie zrobiłam.

– Kłamiesz! Jak śmiesz tak perfidnie kłamać?!

– Serio, nie tknęłam go. Zorro by się obraził, że
zdradzam go z innymi zwierzakami. Bardzo mi przykro,
jeśli coś się kotkowi stało – powiedziała. Kłamała. Tak
naprawdę wcale nie było jej przykro. Nienawidziła tego
kocura.

– Zamordowałaś Kocia z zimną krwią!

– Pani Szczepińska, jest pani pod wpływem silnych emocji. Ja też dzisiaj wiele przeszłam, więc ułatwmy sobie sprawę. Ja będę mówiła bardzo wolno, a pani posłucha uważnie: n i e t k n ę ł a m p a n i k o t a – powiedziała, akcentując każde słowo.

– Kłamiesz!

– A jak niby miałam to zrobić, pani zdaniem? Usiadłam na balkonie z łukiem i upolowałam go?!

– Otrułaś Kocia! – Sąsiadka spojrzała na Zosię morderczym wzrokiem. Takim, jakim zwykle obdarzała studentów, którzy pytali ją, czy może im w czymś pomóc. Wreszcie przestała machać truchłem we wszystkie strony. Przytuliła zwierzaka do piersi, jakby był jej dzieckiem. Mogłoby to wyglądać jak gest pełen troski i matczynej niemal miłości, ale tak naprawdę chodziło pewnie o to, że ręce zaczęły ją boleć. Kocio był... puszysty. Poza tym miał też sporo nadprogramowego sadła, a jakoś nigdy nie spieszyło mu się do ćwiczenia z Chodakowską. W tym jednym akurat dogadałby się z Zosią bez problemu. Z tym, że ona patrzyła na panią Ewę z odrobiną zazdrości. Raz nawet próbowała wykonać zestaw zaleconych przez nią

ćwiczeń, żeby pozbyć się wymaginowanej oponki i już po czterech minutach doszła do wniosku, że babka jest genialnym trenerem. W ciągu tak krótkiego czasu udało jej się dokonać tego, czego matka Zosi próbowała, odkąd jej córka ukończyła podstawówkę – dziewczyna bez większego zastanowienia uznała, że w pełni akceptuje swoje ciało. Wszystko, byle tylko nie słuchać dłużej tych motywacyjnych gadek w stylu: „Dobrze! Dalej! Jeszcze jeden! Jeszcze jeden!”. Może nie miała figury modelki, ale bez problemu wpisywała się w standardy szczupłości. Odrobinę sadelka i grube uda była w stanie przełknąć. Lubiała za to swoje kruczoczarne proste włosy, które po deszczu zakręcały się w delikatne fale. Choć z rana miała wrażenie, że lustra będą pękały, gdy w nie spojrzy, to wieczorem potrafiła obdarzyć swoje odbicie uśmiechem. Przede wszystkim była jednak w miarę inteligentna. A przynajmniej na tyle bystra, żeby wiedzieć, że dalsza dyskusja z sąsiadką nie miała większego sensu.

– Ta rozmowa zmierza donikąd. – Westchnęła, przewróciła oczami i zamknęła drzwi przed nosem sąsiadki.

– Nie daruję ci tego! Spotkamy się w sądzie! – słyszała zza nich. Później poleciała cała więźniarka na temat tego, że zginie z czeluściach piekła, a biesy będą ją łamały kołem. Przestała jednak słuchać. Zamknęła się w łazience, żeby odreagować wszystkie bolączki minionego dnia i pośpiewać pod prysznicem „*Pieski male dwa*”.

Rozdział 2

Niefortunny incydent z papugą

Komisariat Policji na ulicy Jaworowej poza stylowo odrapaną kamienicą koloru wypłowiałego jajka, cechowała przede wszystkim zwarta i zawsze gotowa do akcji ekipa. Zaraz po wejściu każdy delikwent mógł przywitać się z uroczym aspirantem Marczkciem, który praktycznie nigdy nie wstawał ze swojego fotela. Wyjątek stanowiła pora obiadowa. Ruszał wtedy swe krągłości do kuchni i żadna siła nie była w stanie go stamtąd wyciągnąć przez pół godziny, choćby się waliło, paliło, albo budynek postanowili opanować islamscy imigranci. Te trzydzieści minut stanowiło dla niego nienaruszalne sacrum, a dla wszystkich innych ludzi na świecie, bramkę możliwości wejścia lub wyjścia z komisariatu bez pozostawienia po sobie najmniejszego śladu. Oczywiście poza nagraniem z monitoringu, którego i tak nikt nigdy nie przeglądał. Woźny, zajmujący się tego typu sprawami znany był z zamiłowania do gier hazardowych, więc w pracy zwykle odsypiał nocne wojaże w kasynie.

Kiedy delikwent już przemknął się przez tę barierę (zwykle) nie do przejścia, trafiał na człowieka ze stali – komendanta Pokrzywę. Na jego ustach nigdy nie pojawiał się uśmiech. Był chyba jedynym człowiekiem, który potrafił powiedzieć: „bąbelki” z kamiennym wyrazem twarzy. Po posterunku kręciła się również jego żona – ostra laska. Platynowa blondynka nosiła wyłącznie białe koszule i krótkie spódniczki, a przy tym uznawała się za detektywa. Codziennie można tam było spotkać także kilku pomniejszych posterunkowych, którzy byli wiecznie zajęci udawaniem, że są zajęci, co niezmiernie ich męczyło. Jedyne, na co zawsze mieli siłę, to wymyślanie coraz to nowszych żartów na temat swojego kolegi. Co prawda Zatyka miał stopień starszego posterunkowego, ale nawet nowicjusze nie mieli oporów przed wywijaniem mu najgłupszych psikusów. Tak też Bernard niejednokrotnie znalazł oklejone taśmą klejącą stanowisko pracy, kolorową papugę misternie wyklejoną z karteczek samoprzylepnych na monitorze, albo biurko obłożone kartonami, z których formował się kształt klatki. Praca w tak sielankowej atmosferze niejednokrotnie kojarzyła mu się z wakacjami w Mordorze.

Wszystko zaczęło się dwa miesiące wcześniej. Zatyka był uczestnikiem grupy wezwanej do włamania. Z dwoma kolegami stawiał się na miejscu i kiedy oni przesłuchiwali mieszkańców, Bernard sam wbiegł na piętro i zaczął tropić rabusiów. Miał na tyle szczęścia, że nawet ich zauważył. Problem w tym, że oni dostrzegli jego i zaczęli uciekać, nim zdążył krzyknąć: „Stać! Policja!”. Rozpoczął pościg, jednocześnie przez krótkofalówkę wzywając wsparcie kolegów. Sprzęt nie był pierwszej nowości i trochę się zacinał, więc kiedy próbował go naprawić, niepostrzeżenie wpadł na klatkę z papugą. Zwierzę okazało się mocno niepokieszone tym faktem i dziobnęło go prosto w nos. Bernard pisnął odrobinę za głośno. Pech chciał, że właśnie wtedy krótkofalówka przestała się zacinać i koledzy usłyszeli go na tyle dobrze, że przybiegli na miejsce akcji, zanim zdążył wstać z podłogi. O całym zajściu już następnego dnia wiedział cały komisariat. Nie dali mu zapomnieć o incydencie z papugą. Od tego czasu nie powierzono mu żadnej poważnej sprawy i tylko swojej anielskiej cierpliwości zawdzięczał to, że jeszcze nie stał się seryjnym mordercą. Ilekroć któryś z nich używał zwrotu „papuzi chłopiec”,

Bernard wyobrażał sobie krwawą rzeź przeprowadzoną na kolegach z pracy.

– Ej, patrzcie, będzie się działo! – zwróciła uwagę posterunkowa Gosia. Niski rudzielec z uroczymi loczkami jako jedyny starał się okazać Bernardowi trochę empatii i nie drwił z niego. Przynajmniej nie wtedy, kiedy był w pobliżu. Tym razem dziewczyna również starała się odwrócić uwagę kolegów wchodzącą na komisariat kobietą. Panowie od razu zbliżyli się do okna i zlustrowali przybyłą od stóp do głów. Na oko trzydziestoparoletnia brunetka z trwałą ondulacją i mocnym makijażem. W kremowej garsonce osłoniętej beżowym płaszczem prezentowała się nad wyraz kusząco.

– Ach, nogi do samej dupy. Kocham kobiety w szpilkach – westchnął Karol. Policjant uchodził za miejscowego lowelasa, który kobiety traktował bardzo protekcjonalnie. W dodatku nie potrafił powstrzymać się przed rzucaniem szowinistycznych tekstów. Jeśli na komendę przychodziła śliczna dziewczyna, skierowanie jej do Karola kończyło się zwykle pisemną skargą.

– Dla mnie mocne dwa na dziesięć – dodał Fifi. Najmłodszy członek załogi był świeżo po akademii i wyglądem przypominał typowego informatyka. Okulary z grubymi ramkami, kilka przyszczy i koszula w kratę stanowiły nieodłączny element jego ubioru. Znany był również z tego, że godzinami przeglądał fora dla nerdów i jak większość użytkowników, nigdy nie miał dziewczyny. Wszelkie kontakty z płcią przeciwną sprawiały mu wielki problem. Kiedy na horyzoncie pojawiała się żona Pokrzywy, paraliżował go strach.

– Nie lubię okularnic. Zresztą dla mnie jest za stara – rzucił oschle komendant Pokrzywa i odjechał na krzesło obrotowym do swojego biurka. – Obstawiamy?

– Dycha na to, że kogoś ją zgwałcił! – rzucił Karol.

– Dwie na to, że ktoś jej coś ukradł – odpowiedział Fifi.

– Ja stawiam, że to będzie coś typu tej ostatniej babeczki, która do nas przyszła – wtrąciła Gosia. – Coś w stylu, że gówniaki malują kredą po chodniku, albo że rozrzucają pinezki na ulicy.

– A może... – odezwał się Bernard.

– Jeśli to włamanie i winna jest papuga, to skierujemy ją do ciebie – wtrącił się Karol.

Przez szklane drzwi widzieli, jak kobieta wchodzi i tłumaczy swoją sprawę, po czym wypełnia formularz. Trzy minuty później zaczęła się jednak wydzierać, jakby ktoś zablokował jej konto na Instagramie. Biedny Mareczek starał się ją wysłuchać, jednak nawet dla kogoś o anielskiej cierpliwości nie było to łatwe zadanie. Mężczyzna odsunął się na swoim fotelu, jakby bał się, że zostanie opluty. To odrobinę zaniepokoiło resztę załogi.

– Idę zobaczyć, o co chodzi. – Pokrzywa westchnął głośno i z miną Terminatora ruszył do wyjścia z przytulnego gabinetu. Kiedy tylko pokazał się na horyzoncie, nowoprzybyła kobieta zaatakowała go obelgami.

– Banda niekompetentnych kretynów! Czy ktoś w końcu spisze moje zeznania? Chodzi o morderstwo, do jasnej cholery! – krzyczała tak, że słyhać ją było na drugim końcu budynku.

– Droga pani, proszę o spokój. Nie rozmawia pani z kolegą, tylko z funkcjonariuszem na służbie. Oczekuję szacunku dla munduru – uciał Pokrzywa. Ludzie, którzy mieli z nim do czynienia, zwykle miękli jak masło na rozgrzanej patelni, ale ta kobieta nie wyglądała, jakby miała się uspokoić. Wręcz przeciwnie, dopiero się rozkręcała.

– Szacunek do munduru mam, ale do bandy debili już nie. Ten człowiek. – Wskazała na aspiranta Mareczka, który wzruszył bezradnie ramionami. – Odmówił mi aresztowania kobiety odpowiadającej za śmierć mojego kota!

– Kota? Śmierć kota? – zapytał Pokrzywa, jakby nie uwierzył w to, co usłyszał. – Przyszła pani zgłosić śmierć kota?

– Tak, głuchy pan jest? Moja sąsiadka, Zofia Małecka, otruła mojego kota!

– Ma pani na to dowody?

– Od tego chyba wy jesteście, żeby je znaleźć?!

– Czego pani od nas oczekuje w tej sprawie?

– Reakcji! Zamknijcie tę wariatkę! Żądam aresztowania jej!

– Droga pani, czy są jakieś dowody na popełnienie zbrodni przez pani sąsiadkę?

– Ciało Kocia! Możecie go przebadać. Jestem pewna, że po badaniach prawda wyjdzie na jaw!

– Nie wątpię, że pani kot został otruty, ale mógł chociażby zjeść trutkę w piwnicy. Mają państwo szczury w budynku?

– Pan oszalał! Nie mamy żadnych szczurów, a Kocio nie wychodził z mojego mieszkania.

– Czy więc sąsiadka miała dostęp do mieszkania? Miała do niego klucze lub składała w ostatnim czasie wizyty?

– Nie, ale wiem, że to ona. Nienawidziła Kocia!

– Jeśli nie ma pani dowodów...

– To było morderstwo! I to na pewno ona! Nie wyjdę stąd, dopóki ktoś jej nie aresztuje!

Pokrzywa po raz pierwszy od dawna uśmiechnął się pod wąsem.

– Spokojnie, pani...

– Szczepińska. Roksana Szczepińska – powiedziała spokojnie.

– Pani Roksano. – komendant objął kobietę ramieniem i skierował w kierunku wyjścia. – Obiecuję zbadać sprawę dogłębnie. Przydzielę do tego najlepszego specjalistę od zwierząt.

– Kocio był dla mnie bardzo ważny. Bez niego zginę. Pan nie rozumie powagi sytuacji. Ona musi ponieść karę. Jestem pewna, że to ona. Średnio raz w tygodniu wypominała mi, że Kocio nasikał jej na balkon. – Roksana chwilowo się uspokoiła, choć cała ta historia wywoływała w niej wiele emocji. Zapewnienia komendanta Pokrzywy napawały ją nadzieją na rozwiązanie sprawy. Raz w życiu uwierzyła, że policja może się do czegoś przydać, choć zwykle unikała mundurowych jak ognia. Wyszła z

komisariatu z iskierką nadziei na to, że istnieje jeszcze sprawiedliwość na świecie. Miała tylko nadzieję, że ramię sprawiedliwości nie dosięgnie jej głowy.

Tymczasem kiedy pierwszy atak furii został zażegnany, komendant Pokrzywa wrócił do swojej załogi. Nie dając po sobie poznać, że zdarzyło mu się uśmiechnąć, wszedł do swojego gabinetu i wezwał Bernarda Zatykę. Mężczyzna był zaskoczony, że to właśnie na niego padło. Pełen entuzjazmu wszedł do przełożonego i czekał na wyzwanie, które mogło odmienić jego sytuację. Za wszelką cenę chciał naprawić swoją reputację po incydencie z papugą.

– Berni, słuchaj. Ta babeczka to Roksana Szczepińska. Przyszła do nas ze sprawą morderstwa – zaczął.

– I komendant jej nie zatrzymał do przesłuchania? – wtrącił się Bernard. Energia go rozpierała. Morderstwo! Lepszej sprawy nie mógł dostać!

– Nie. Sprawa jest delikatna. To jest formularz, który wypełniła. Dotyczy zapewne ofiary i osoby

podejrzanej o dokonanie morderstwa. – Pokrzywa przesunął w stronę posterunkowego kartkę wypełnioną koślawymi pismem, które przywiodło mu na myśl typowo lekarski styl. Coś takiego mógł odczytać tylko inny lekarz, albo farmaceuta. Takich ludzi z pewnością uczą grafologii i kryptografii. Prosty policjant mógł mieć niemały problem z rozszyfrowaniem tego typu krzaczków.

Bernard chwycił kartkę i przyglądał jej się z bliska przez dłuższą chwilę. Z opisu sytuacji niewiele zrozumiał, ale starał się wyłapywać co ważniejsze słowa.

– Kot? – zapytał na głos, kiedy jego myśli nie potrafiły dłużej usiedzieć cicho. – Chodzi o kota?

– Tak. Ofiarą był kot pani Szczepińskiej.

– Za przeproszeniem, czy komendant sobie ze mnie jaja robi?

– Nie, to poważna sprawa. Uznałem, że jesteś do tego idealnym człowiekiem. Masz w końcu doświadczenie ze zwierzętami – wspomniał, a zza drzwi dało się usłyszeć tłumione śmiechy. Wskazywały na to, że współpracownicy bezczelnie podsłuchiwali rozmowę.

Cały entuzjazm Bernarda opadł w jednej chwili.

– Czy te żarty nigdy się nie skończą? – zapytał zniesmaczony, ale nawet nie liczył na odpowiedź.

– To sprawa jak każda. Przyłóż się. To może być seryjny koci morderca – dodał Pokrzywa, a loża szyderców nie potrafiła dłużej zachować swoich śmiechów dla siebie. Bernard nie miał wyboru. Wołał zagłębić się w byle jaką sprawę, aby nie słuchać dalszych docinek.

Już po wstępnym researchu okazało się, że pani Roksana Szczepińska była wzorową obywatelką. Chodziła na wybory, a nawet płaciła podatek za radio i telewizję. Na co dzień pomagała studentom zza dziekańskiego okienka, a w wolnym czasie opiekowała się kotem. Jej mąż był sławnym podróżnikiem. Takim, który potrafi na boso zwiedzać świat. Niestety wycieczki bez butów musiały jej się znudzić, bo po czterech latach rozwiodła się i wróciła do panińskiego nazwiska. W towarzystwie zawsze błyszczała elokwencją i kulturą osobistą. Wszyscy wokół wiedzieli, że ta kobieta jest ideałem. A raczej byłaby. Gdyby była. Niestety pech

sprawił, że zniknęła. Bernard z kolei był trochę mniej idealny, ale przynajmniej był. Stał pod jej drzwiami przez dłuższą chwilę, żeby spisać rutynowe oświadczenie i uzupełnić brakujące dane. Pech chciał, że nie doczekał się obecności właścicielki mieszkania. Kiedy zajrzał w notatki, doszukał się adresu podejrzanej o popełnienie przestępstwa, ale tam również nie doczekał się odzewu. Mało tego, przegoniło go szczekanie jakiegoś rozwścieczonego psa. Bernard nigdy za zwierzętami nie przepadał, więc czym prędzej ulotnił się z miejsca przestępstwa.

Jako doświadczony policjant wykorzystał poznane na kursie techniki śledcze i szybko odpalił telefon, gdzie po wpisaniu w przeglądarkę odpowiedniego nazwiska, odnalazł podejrzaną w mediach społecznościowych i namierzył jej miejsce pracy. Był dumny ze swojego osiągnięcia. Lata nauki nie poszły na marne i choć zajmował się mało istotną dla świata sprawą, usiłował budować motywację do dalszych starań, choćby tak błahymi sukcesami. Wszystko było lepsze niż myśl, że

miałby wrócić na komisariat i po raz kolejny wysłuchiwać,
jakim jest nieudacznikiem.